

# WIADOMOŚCI Z BIBLIOTEKI

Czerwiec / Lipiec 2004

## W Numerze

- [Od Redakcji](#)
- [Polska w Europie](#)
- [Nasza Biblioteka](#)
- [Snobizmy literackie: Radość czytania](#)
- [Wydarzenia: Monodram \*Helena\*. Czyli rzecz o Modrzejewskiej w Ambasadzie R.P.](#)
- [Recenzje](#)
- [Pożegnania](#)

## Od Redakcji

Czy od 1 maja tego roku my, Polacy mieszkający w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, czujemy się inaczej niż przed tym dniem? Jeden z redaktorów *Wiadomości* zainspirowany faktem wejścia Polski do Unii Europejskiej próbuje znaleźć odpowiedź na to pytanie zarówno w kontekście doświadczeń zbiorowych jak i osobistych. Ciesząc się powrotem do Europy, żegnamy ze smutkiem Jacka Kaczmarskiego - barda, który pomagał nam wierzyć w to, że czas zmian nastąpi. Jest też w numerze wspomnienie o dr Annie Erdman, osobie wyjątkowej i bliskiej wielu z nas.

Sprawy i doświadczenia obecne mają jednak wciąż w naszej zbiorowej świadomości odniesienia do II Wojny Światowej. Dowodem na to jest fakt, iż nadal powstają utwory i prace analizujące wydarzenia tego okresu. W niniejszym numerze *Wiadomości* recenzujemy dla Państwa książkę Normana Davisa o Powstaniu Warszawskim oraz eseje Ewy Hoffman, pisarki znanej nam przede wszystkim z *Lost in Translation*, analizującej w swojej najnowszej książce postawy drugiego powojennego pokolenia. Z przyjemnością informujemy, że recenzowana niedawno na naszych łamach i dostępna w Bibliotece książka *Gulag: A History* autorstwa Anne Applebaum zdobyła, zgodnie zresztą z oczekiwaniami recenzenta, prestiżową nagrodę Pulitzer'a.

Tegoroczna teatralna wiosna w Waszyngtonie miała swój polski akcent w postaci monodramu Kazimierza Brauna *Helena* w wykonaniu Marii Nowotarskiej z Teatru Polskiego w Montrealu. Postacie głównej bohaterki i wykonawczyni łączy w czasie zarówno zawód aktorki jak i emigracyjne losy i doświadczenia.

A przed nami znów lato i czas na wybór wakacyjnych lektur. Jak bardzo mogą być one zróżnicowane i jak wiele mogą przynieść nam wrażeń, przypominają omawiane przez nas *Nowe lektury nadobowiązkowe* Wisławy Szymborskiej oraz lista najnowszych nabytków Biblioteki, do zapoznania się z

## From the Editor

Do we, Poles living in the United States, feel any different as of May 1st 2004? One of our *Library News* editors, inspired by Poland's entry into the European Union, draws on collective and personal experience to answer this question. While we are happy with our return to Europe, we feel sad to bid farewell to Jacek Kaczmarski, a bard who helped us believe that times will change. This issue also includes a feature on the late Dr. Anna Erdman, who was a special person for many of us.

The present is still related in our collective consciousness to World War II. The abundance of books being published about this period proves this. In the current issue, we offer you a review of a book by Norman Davies about the Warsaw Uprising. We also review the essays of Eva Hoffman, mainly known as the author of *Lost in Translation*. In her latest book, Hoffman analyzes the attitudes of Holocaust's second generation. We are pleased to tell you that Ann Applebaum's *Gulag: A History*, as our reviewer had hoped, won the prestigious Pulitzer Prize. The book is available in our library.

Washington theater offerings this spring had a Polish aspect: Kazimierz Braun's *Helena*, a monodrama performed by Maria Nowotarska from the Polish Theater in Montreal. Both protagonist and performer are connected throughout time by their acting profession and émigré experiences. Summer is coming—it is time to select books for vacation reading. That these choices can be diverse and interesting is demonstrated by Szymborska's *New Nonrequired Reading* discussed in this issue. We also provide a list of latest library acquisitions and encourage you to peruse it.

Our library brings us closer to important events through scholarly and literary works as well as the journals found on our shelves. Alina Teranska, the library's co-founder, writes about its history, goals, and volunteers.

która bardzo zachęcamy.

Wielkie wydarzenia z przeszłości i te aktualne, których doświadczamy sami, opisywane i analizowane w pracach naukowych, utworach literackich i artykułach prasowych spotykamy na codzień i poznajemy także tu na miejscu - w naszej Bibliotece. O tym, jak powstawała, jakie miała i ma cele, kto i dlaczego w niej pracuje, pisze dla nas jej współzałożycielka, Alina Żerańska.

Wyjeżdżającym na wakacje polecamy więc książki z naszych zbiorów, a pozostających w Waszyngtonie zapraszamy do częstego odwiedzania naszej siedziby oraz do uczestnictwa w kolejnych spotkaniach Klubu Polskiej Książki. Wszystkim zaś życzymy fascynujących wakacyjnych lektur.

If you are going on vacation, we recommend you take along books from our collection. We invite those staying in Washington to visit our library and attend meetings of our Book Club. We wish you interesting vacation reading.

## Polska w Europie!



Polska weszła w skład Unii Europejskiej!

Sprzeniewierając się swoim własnym zasadom zachowaniu politycznej niezależności postanowiliśmy o tym wydarzeniu napisać. Z dniem 1 maja – trudno chyba o bardziej znamiennej dacie! - Polska jest już formalnie częścią tej Europy, którą politycznie określa się jako Zachodnia, a od której, wbrew zapewnieniom propagandy PRL, nigdy nie chcieliśmy być odseparowani.

Europa Zachodnia wydawała nam się kiedyś miejscem bardzo odległym. Nie tyle fizycznie, ile w wyglądzie, stylu życia. Przyglądaliśmy się jej ale z konieczności mało dokładnie, jakby przez dziurę w płocie. Czasami, dzięki łaskawości „władzy ludowej”, udawało nam się tam pojechać. Rzadko turystycznie, częściej by odwiedzić rodzinę, służbowo, a głównie „na saksy”. Czuliśmy się wtedy jak ubodzy krewni. Wszystko się nam podobało: standard życia, samochody, wybór towarów w sklepach. Dla wielu najbardziej dokuczliwe były jednak frustracje, które przechodziliśmy w tamtejszych księgarniach i bibliotekach. Zachwycał i przytłaczał ten nieograniczony dostęp do literatury i prasy z całego świata. Było tak oczywiście nie tylko w Europie Zachodniej. Wszędzie na Zachodzie. Przypominam sobie lato 1980, na krótko przed Sierpniem. Biblioteka Miejska w Ottawie. W sekcji polskiej działu książek zagranicznych stały obok siebie na półce, w pełnej zgodzie **Historia Powstania Warszawskiego** Zenona Kliszki i **W imieniu Polski walczącej** Stefana Korbońskiego. Dwie prace poświęcone temu samemu okresowi historii Polski. Tyle tylko, że pierwsza z nich, dzieło jednego z głównych prominentów PRL-u lat 60-tych, była w kraju powszechnie dostępna. Za próbę przywiezienia do Polski tej drugiej, napisanej i wydanej na Zachodzie przez działacza emigracyjnego, ostatniego delegata Rządu na Kraj, można było mieć poważne problemy.

Sytuacja w Polsce zaczęła się powoli normalizować już w drugiej połowie lat 80-tych. Ówczesne władze, przeczuwając chyba nadchodzący koniec komunizmu, złagodziły rygory cenzury do tego stopnia, że już w roku 1988 mogłem kupić w księgarni w Warszawie polskie tłumaczenie **Folwarku zwierzęcego** George'a Orwella, książkę jeszcze do niedawna zakazaną. Okres po konferencji Okrągłego Stołu to już nieskrępowany tryumf swobody. Nie trzeba już było szmuglować do Polski książek wydanych na Zachodzie i drzeć, aby nie zostały skonfiskowane przez służby celne jako „zawierające treści godzące w ustrój Państwa Polskiego, sojusze międzynarodowe” itp. Straciły rację bytu podziemne wydawnictwa tzw. drugiego obiegu. Przeszły obowiązywać słynne zapisy cenzury. Pisarze jeszcze do niedawna na indeksie, piszący „do szuflady”, mogli przestać ukrywać swoje prace i zacząć je legalnie publikować. Jeśli ich szuflady nie okazały się puste...

W latach 90-tych można już było publikować wszystko, wszystkich autorów. Czesław Miłosz i Stanisław Barańczak przestali być uważani za twórców emigracyjnych. Stali się po prostu literatami polskimi mieszkającymi i piszącymi za granicą. Tak, jak związani z naszą Biblioteką, Danuta Mostwin i Henryk Grynberg. Jest nadzieja, że nie powtórzy się dramat Marka Hłaski.

Nabrały kolorów media. Nie tylko w szacie graficznej. Prasa, już nie sterowana centralnie, przestała być nienaturalnie jednolita. Jej obecna różnorodność odzwierciedla istniejącą od zawsze polaryzację poglądów politycznych społeczeństwa. Czasami to zróżnicowanie przeraża, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z wydawnictwami najróżniejszych ekstremalnych oszołomów, ale prasa powinna być przecież głosem ludu a nie narzędziem władzy. Swoboda wypowiedzi pozwala nam teraz uzmysłwić sobie, jacy naprawdę jesteśmy. Dzięki możliwościom podróżowania i powszechnie dostępnemu Internetowi współczesna młodzież patrzy na

świat inaczej niż moje pokolenie, dorastające w latach 70-tych. Racjonalnie, często krytycznie, bez kompleksów.

Jerzy Kozłowski

## Nasza Biblioteka

W maju minęło 13 lat od pamiętnego dnia, gdy zawiązało się Towarzystwo Przyjaciół Biblioteki Polskiej. Pierwszy zarząd, złożony z dziewięciu osób, wierzył głęboko, że książki są najlepszym odzwierciedleniem kultury narodu. A w metropolii waszyngtońskiej nie można było wówczas kupić ani wypożyczyć książki polskiej lub choć czasopisma! Idealistom tym marzyło się, by stworzyć instytucję, która nie tylko by służyła Polakom, ale mogła szerzyć wiedzę o Polsce. Nie mieli jednak ani pieniędzy, ani książek, ani widoków na jakiś lokal. Mieli tylko piękną wizję.

Dzi Biblioteka Polska mieści się w świeżo odnowionych atrakcyjnych czterech pokojach, posiada ponad 6000 książek, ponad 300 kaset filmowych, otrzymuje lotniczo 7 czasopism z Polski i Nowy Dziennik z Nowego Jorku, ma też stały dopływ świeżych wydawnictw z kraju. Na liście członków zaś ponad 300 adresów rodzin i czytelników pojedynczych, najwięcej ze wszystkich organizacji polonijnych. Jest to też jedyne miejsce w Waszyngtonie i okolicy, gdzie można przyjść, zapoznać się z rodakami, porozmawiać po polsku, poczytać prasę - nie będąc nawet członkiem biblioteki. Jedyne też organizacja, gdzie wszystkie zebrania jak też imprezy odbywają się po polsku, a zespół pracujący jest całkowicie dwujęzyczny.

Nowa instytucja z miejsca znalazła poparcie społeczne. Polish American Arts Association urządziło koncert, z którego cały dochód, 1200 dolarów, poszedł na przyszłą bibliotekę. Opracowano statut i zarejestrowano Towarzystwo Przyjaciół Biblioteki Polskiej jako amerykańską niedochodową instytucję kulturalno-oświatową. Fundacja Kulturalna Polskich Kombatantów opłaciła koszt adwokata i rejestracji. Ambasada RP obiecała pożyczyć książki na początek. Sprawą najtrudniejszą było zdobycie lokalu. W Waszyngtonie nie ma Domu Polskiego, gdzie jak w innych miastach mogłaby mieścić się biblioteka. Wynajęcie było finansowo niemożliwe. Jednak rozwiązanie przyszło jak z nieba! Przy energicznym poparciu radcy ds. kultury Ambasady RP Andrzeja Jareckiego (tragicznie potem zmarłego), szef Polskiej Misji Ekonomicznej Jacek Tomorowicz ofiarował zachwyconym marzycielom bezpłatnie malutkie dwa pokoje choć w suterenie, ale z osobnym wejściem w budynku Misji w centrum miasta w pobliżu Dupont Circle, więc z dogodnym dojazdem metrem. Było tam też sporo półek.

Okolo tysiąca książek zwieziono z ambasady. Stare, podniszczone, trochę klasyków i wydawnictwa PRL. Pamiętam ten dzień 18 stycznia 1992 r., gdy rozesłaliśmy zaproszenia na otwarcie Biblioteki Polskiej. Przyniosłam wielki kawnik, inni ciasteczka i papierowe kubki. Ale uroczyscie było tylko w naszych sercach, bo całe umeblowanie stanowiło biurko i stary fotel, większość półek świeciła pustką. Jednak przyszło okolo stu osób! Wypełniali aplikacje. Wielu zapisało się, wpłacali składki i nawet małe dotacje. Składka członkowska niewielka (do dziś nie większa), każda była pomocna. Do zarządu dołączył szereg pełnych entuzjazmu ochotników.

W następnych tygodniach zarząd zwracał się do członków Stowarzyszenia Polskich Kombatantów o dary książkowe. Zaczęło się zwożenie, znoszenie ciężkich pak po stromych schodach, sortowanie, układanie. Przybyły komplety klasyków i mnóstwo wartościowych wydawnictw emigracyjnych. Biblioteka pęczniała, rosła jej sława. Wkrótce, we wrześniu 1992 r. ukazał się też pierwszy numer **Wiadomości z Biblioteki (Polish Library News)**, którego zadaniem było informować o naszej działalności, książkach i pisarzach.

Po dwóch latach, gdy książek i czytelników wciąż przybywało, udostępniono Bibliotece Polskiej trzeci pokoiik, który przeznaczylismy glównie na książki w języku angielskim o Polsce i na czytelnię. Dopiero dwa lata temu dostaliśmy pokój czwarty. Pomoc przychodziła nie tylko od czytelników i miłośników polskiego filmu, ale z różnych stron w postaci darów książkowych i czeków różnej wysokości, zazwyczaj po kilkadziesiąt, rzadziej ponad sto dolarów. Gdy rozwiązywała się Fundacja Kulturalna Polskich Kombatantów, z rozdzielanego funduszu przyznano nam 5000 dolarów na katalogowanie. Tylko pani Blanka Rosenstiel przysłała dwa razy po 1000 i raz 3000. Ambasador Jerzy Koźmiński przekazał kiedyś bibliotece 1000 dolarów - swe honorarium za odczyt.

Szerokie poparcie tłumaczymy tym, że Biblioteka Polska stała się jedyną organizacją w metropolii waszyngtońskiej, która złączyła przedstawicieli wszystkich fal emigracji polskiej, od dzieci tych najdawniejszych, którzy dawno zeszedli ze świata, poprzez uchodźców wojennych i politycznych, aż do świeżo napływających. Większość członków naszej biblioteki jest tu jednak kilkanaście lub zaledwie kilka lat i wciąż odczuwa potrzebę kontaktu z książką i słowem polskim. Zachodzą też Amerykanie, którzy mają handlowe lub dyplomatyczne kontakty z Polską, jak też młodzież akademicka w potrzebie informacji.

Od początku organizowaliśmy też wieczory autorskie, co zachęcało do czytania i dostarczało urozmaicenia. Niegdyś w Waszyngtonie kolędy polskie można było usłyszeć tylko w kościele. Gdy w grudniu 1994 r. Biblioteka



Polska zorganizowała pierwszy koncert polskich kolęd ze wspólnym śpiewaniem, w Błękitnym Salonie Ambasady RP było pełno. Starym emigrantom dało to wzruszające przeżycie, wielu miało łzy w oczach... Od tego czasu bożonarodzeniowy koncert przy choince i fortepianie Paderewskiego odbywa się co roku, tylko problem - jak wszystkich co przyjdą zmieścić. Inne organizacje poszły za naszym przykładem i ku ogólnemu zadowoleniu kolędują. Dużym powodzeniem cieszy się też doroczny piknik przyjaciół Biblioteki Polskiej nad jeziorem. Tam można się zabawić. Tam zawiązują się przyjaźnie. Imprezy te zorganizowane są też nie jako źródło dochodu, lecz mają być dostępne dla każdego, więc opłaty niskie, byle pokryć koszt. Najważniejszą sprawą są jednak zawsze książki i czytelnicy. Po to bowiem biblioteka została założona.

Biblioteka Polska ma wiele do ofiarowania. Są tu klasyki literatury polskiej, powieści poważne i rozrywkowe, wspomnienia, poezja, jest kilka regałów historii od zarania dziejów do dzisiejszych czasów, obszerny dział prac o literaturze i sztuce, osobny biografii, sporo książek dla dzieci, słowniki, encyklopedie, leksykony i atlasy. Książek w języku angielskim jest około tysiąca o historii i kulturze polskiej, jak też tłumaczenia z literatury polskiej. Mamy też księgi cenne. Na przykład kilka lat temu ambasador Jerzy Koźmiński uroczyście wręczył potężne dzieło - ***Dziesięciolecie Polski Odrodzonej 1918-1928***. Doszła później księga jeszcze ogromniejsza - ***Dziesięciolecie Polski Niepodległej 1989-1999***. Biblioteka nabywa też co roku w Warszawie paręset nowości wydawniczych. Oczekujemy właśnie nowej przesyłki. Katalog księgozbioru jest już w komputerze. Mamy też obszerną i stale aktualizowaną witrynę w Internecie, często odwiedzaną. Biblioteka Polska w Waszyngtonie jest więc świetnym źródłem informacyjnym, dostępnym w bibliotekach na całym świecie.

Biblioteka nasza mieści się w budynku należącym do państwa polskiego, ale zawsze była i jest w dalszym ciągu instytucją niezależną. Jedyne i największy problem to ograniczona przestrzeń. Nie możemy powiększać księgozbioru, gdy przychodzą nowe książki - trzeba tyleż mniej ważnych usunąć. Nie możemy przechowywać czasopism, nie mamy archiwum. Nikt z zarządu ani z pracujących w bibliotece ochotników nie otrzymuje żadnego uposażenia. Jedyne ich wynagrodzenie to satysfakcja jaką daje świadomość, że robią coś bardzo pożytecznego i ważnego. To ludzie, którzy wierzą, że najwspanialszym pomnikiem kultury - są właśnie książki. Może kiedyś znajdzie się ktoś, kto podziela to przekonanie i zechce ofiarować lub zapisać w testamencie fundusz na dom Biblioteki Polskiej w stolicy amerykańskiej.

**Alina Żerańska**

## **Snobizmy literackie: Radość czytania.**

Jak to wspaniale, że mamy pracowitych pisarzy, którzy dbają, abyśmy zawsze mieli pod ręką coś do czytania! Całkiem niedawno George Suboczewski recenzował dla ***Wiadomości*** angielską wersję ***Lektur nadobowiązkowych***, a już Czytelnicy naszej Biblioteki mogą ruszyć w dalszą fascynującą podróż wraz z Wisławą Szymborską po krainie literatury. Tym razem, w ***Nowych lekturach nadobowiązkowych***, mamy 59 smakowitych wariacji na temat książek przeczytanych przez pisarkę w latach 1997-2002, ładnie wydanych przez ***Wydawnictwo Literackie*** z obowiązkowo dowcipną szatą graficzną. Muszę Państwa ostrzec, że jest to następna – po tomiskach Harrego Pottera, czarodziejska książka w naszej Bibliotece. Jej magia, niebezpieczna dla niewtajemniczonych, polega na tym, że w miarę czytania rozrasta się i w finale jakimś cudem zamiast jednego niepozornego tomiku mamy w domu kilkadziesiąt książek nabytych pod wpływem „czarownicy z Krakowa”. Proszę wybaczyć, ale złośliwie polecam ją tym, którzy twierdzą, że już wszystko przeczytali.

Podobnie jak w części pierwszej, w ***Nowych lekturach*** zapoznajemy się z upodobaniami literackimi pisarki. Podobnie jak w części pierwszej jesteśmy pod wrażeniem jej wyboru. Co czyta nasza szanowna Noblistka? Czyta ona praktycznie wszystko. Od życiorysów światowych sław: Salvadore Dali, George Sand, Juliusza Verne, Maji Plisieckiej, Alfreda Hitchcocka, po biografie sław bardziej swojskich: Bogumiła Kobieli, Adama Mickiewicza, Piastów. Panią Szymborską zainteresowały również książki: ***Mitologia Aborygenów, Wśród kanibali – wyprawy kobiet niezwykle i Zagadka Neandertalczyka***. W jej koszyku zakupowym znalazły się również następujące dziwa: ***Jak dawniej leczono – lekarze, święci, i czarodzieje w XVII i XVIII*** oraz ***Papierosy są boskie***. Autorka ***Pocztę literackie czyli jak zostać (lub nie zostać) pisarzem*** genialnie rozprawia się z mniej lubianymi przez nią pozycjami: ***Relaks – 101 praktycznych porad*** i ***Sztuka pisania***. Mnie osobiście najbardziej zdziwiły dwie spośród lektur przeczytanych przez damę poezji polskiej: książka o historii guzików ***Życie codzienne w domach publicznych***. Jak więc widzimy w każdym wieku można zachować ciekawość świata „dziewczynki ściągającej obrus”. I tu poniekąd wyjaśniła się tajemnica niewielkiej wydajności pisarskiej Szymborskiej – ta Pani po prostu za dużo czyta.

Aby dowiedzieć się jeszcze więcej o odczuciach i filozofii sławnej poetki zachęcam do przeczytania nowego nabytku Biblioteki - ***Nic dwa razy. Wybór wierszy (Nothing twice-Selected Poems)***. Jak dotąd jest to najpełniejszy przegląd twórczości polskiej Noblistki nagrodzony również prestiżową nagrodą PEN-Clubu oraz Book of the Month. Nasze polsko-amerykańskie rodziny będą niezwykle usatysfakcjonowane – wiersze zostały przepięknie przetłumaczone na angielski przez znany nam już duet: Stanisław Barańczak i Clare Cavanagh (jeśli mogę wtrącić osobiste zdanie, to gdyby przyznawano Nobla za tłumaczenia, to ta para już by prasowała galowe ubrania). Proszę zresztą spojrzeć na fragment wiersza ***Urodziny/Birthday*** – tak świetnie nadającego się

na okres wiosenny.

*Tyle naraz świata ze wszystkich stron świata:  
moreny, mureny i morze i zorze,  
i ogień i ogon i orzeł i orzech –  
jak ja to ustawię, gdzie ja to położę  
Te chaszczce i paszczce i leszczce i deszczce,  
Bodziszkki, modliszkki – gdzie ja to pomieszczę?  
Motyle, goryle, beryle i trel  
Dziękuję, to chyba o wiele za wiele.*

*So much world all at once – how it rustles and bustles!  
Moraines and morays and morasses and mussels,  
the flame, the flamingo, the flounder, the feather –  
how to line them all up, how to put them together?  
All the thickets and crickets and creepers and creeks!  
The beeches and leeches alone could take weeks.  
– Chinchillas, gorillas, and sarsaparillas –  
thanks, but all this excess of your kindness could kill us.*

Po prostu majstersztyk! Gdyby natomiast Państwo przeczytali już **Nowe lektury** i wszystkie polecane w nich książki, i wszystkie wiersze, namawiam do zajrzenia do lektury wakacyjnej – **Frywolitki** i **Frywolitki 2** Małgorzaty Musierowicz. Z pewnością wielu z Państwa zna te znakomite felietony autorki młodzieżowej serii **Jeżyzjady** drukowane na łamach **Tygodnika Powszechnego**. Teraz mamy je wszystkie w kupie (raczej w dwóch) ze wspaniałymi ilustracjami samej autorki. W nich również mamy wiele propozycji książkowych, także wielka jest szansa, że przy tych wszystkich podpowiedziach z łatwością dociągniemy lekturowo do Nowego Roku. A między nami mówiąc, cóż to za wspaniały dom, który wydał takie rodzeństwo jak Musierowicz i Barańczak.

**Anna Firsowicz**

## **Wydarzenia: Monodram *Helena. Czyli rzecz o Modrzejewskiej***

„To jakaś pseudoartystyczna prowokacja, a nie teatr”  
*Przeciwnicy monodramów*

Aby utrzymać na sobie wzrok i słuch widza, hipnotycznie przykuć jego uwagę do każdego gestu i ruchu stojąc przez niemal półtorej godziny na małej scenie bez specjalnie skupiających uwagę dekoracji i wygłaszając niekończące się, powikłane myślowo i emocjonalnie nomologii, trzeba posiadać umiejętność absolutnej koncentracji. Trzeba też bezwarunkowo szanować publiczność, która w przypadku monodramu staje się jedynym partnerem scenicznym aktora. Najważniejsze jest jednak, aby z pokorą oddać się władaniu słowa. Traktować je jak medium, ufać mu i pozwolić mu prowadzić się i dominować, a wszystko po to, aby wykreować nim emocjonalną fatamorgana, obrazy, kształty i zdarzenia, które zaczynają istnieć fizycznie i stają się teatralną rzeczywistością.

Nie każdy aktor decyduje się na występ w monodramie. Nie można tam liczyć na nic i nikogo oprócz samego siebie. Marii Nowotarskiej to się udało. Co prawda intensywna, dramatyczna opowieść o królowej polskich scen na przełomie wieków, Helenie Modrzejewskiej, była materiałem sprzyjającym, zarówno swą treścią jak i emocjonalnym ładunkiem i życiową prawdą, z którą grającej Helenę Marii Nowotarskiej dość łatwo przyszło się zidentyfikować.

Spektakl ***Helena. Czyli rzecz o Modrzejewskiej*** Kazimierza Brauna, który mieliśmy okazję obejrzeć 1 maja w Ambasadzie Polskiej w Waszyngtonie to barwny i przekonujący dramat Pięknej Kobiety, Wielkiej Aktorki i Samotnej Emigrantki. Do napisania sztuki zainspirowała pisarza wizyta w kalifornijskim domu Modrzejewskiej. Sukces przedstawienia był do przewidzenia; trudno było oczekiwać, że coś „pójdzie nie tak”, gdyż w postaci bohaterki wcieliła się również Piękna Kobieta, Wielka Aktorka i Samotna Emigrantka - Nowotarska, najintymniej rozumiejąca bolesne wyznania swej protagonistki.

Maria Nowotarska, pełna elegancji, wdzięku i wewnętrznego ciepła aktorka na emigracji, z ogromnym dorobkiem scenicznym, zdobyłym zarówno w Polsce jak i za granicą, a od 1997 współzałożycielka Salonu Muzyki i Poezji w Kanadzie, wystąpiła w monodramie ***Helena*** na scenach teatralnych Toronto, Paryża, Wiednia, Londynu, Los Angeles, Nowego Jorku, San Francisco, San Diego, Montrealu, Vancouver, a także Warszawy i Krakowa. Gra często z córką Agatą Pilitowską, którą w bieżącym roku dwukrotnie mieliśmy okazję oglądać w Waszyngtonie: jako Tamarę Lempicką w spektaklu Kazimierza Brauna i w pełnym magicznego uroku wieczorze muzyczno-poetyckim, poświęconym twórczości Wisławy Szymborskiej.

Maria Nowotarska, przed laty opuszczając Polskę i swój ukochany teatr Juliusza Słowackiego w Krakowie, żegnała się tym samym ze sceną. Wyjazd do Kanady oznaczał Nowe Życie, gdzieś poza sceną, poza teatrem, oznaczał rezygnację z tego, co kochała najbardziej i co było treścią jej życia. Na szczęście dla niej i dla nas – widzów – scena odnalazła ją i tam. Jej emigracyjne życie jest nierozdzielnie związane z rzeczywistością teatralną. Jak wiele siły woli, determinacji, miłości i poświęcenia wymaga egzystencja przeszczepionej z rodzimego gruntu, dojrzałej aktorki na emigracji, Maria Nowotarska wie doskonale. Dlatego sztuka Brauna nie mogła trafić we właściwsze ręce.

W niezwykle przekonujący psychologicznie i emocjonalnie sposób przekazała artystka ów potrójny dramat: pełnej goryczy, złości, rozżalenia i pogardy dla mężczyzny kobiety-ofiary, zdegradowanej i upokorzonej, zredukowanej do debiutantki gwiazdy teatralnej i „obcej”, emigrantki, istniejącej pomiędzy dwoma światami, dwoma kulturami, dwoma językami, „natrętnej cudzoziemki” – jak Helena Modrzejewska określa siebie samą.

Monodram Kazimierza Brauna jest i epicki, i liryczny, opisujący i dramatyzujący, dowcipny i tragiczny, chwilami wypełniony spokojem i akceptacją, to znów pulsujący niepokojem i buntem przeciwko rzeczywistości. Aby prawdziwie odtworzyć całe to spektrum emocji, trzeba rozumieć ich wszystkie, najbardziej nawet subtelne odcienie. Idealizująca i wypaczająca przeszłość Helena, nostalgicznie wybiegająca przeszłości tej na spotkanie, aby ostatecznie - w efektownej, zalanej czerwonym światłem scenie - pozwolić Jej zabrać się w ostatnią wędrówkę, zderza się tu z pełną hartu ducha, świadomą swej wielkości, pewną swej magicznej władzy kobietą i aktorką. Piękna, podziwiana, uwielbiana zwyciężczyni staje twarzą w twarz z samotną, niezrozumianą, neurotyczną, zdaną na łaskę mężczyzny i swych widzów kobietą. Postacie, z którymi utożsamiała się na scenach: Ofelia, Maria Stuart, Lady Mackbett, Adrianna Lecouvreur konfrontują się z nią samą - Heleną Modrzejewską – być może bardziej będącą nimi niż sobą samą. „Całe moje życie było grą” – wyznaje. „Nie mogłam tu żyć, mogłam tu tylko grać swoje życie. Życie gwiazdy. Życie damy. Życie emigrantki. Naturalna na scenie, sztuczna w życiu.”

Jedną z najciekawszych scen spektaklu jest scena przesłuchania w California Theater w San Francisco, kiedy Helena Modrzejewska traktowana jest przez amerykańskiego agenta jako debiutantka i amatorka. Narażona na niewyobrażalne dla niej przedtem upokorzenia - i jako dama z wyższych sfer i jako aktorka – Helena zмага się ze swym „pozostawiającym dużo do życzenia” angielskim i z dopasowaniem swej polskiej duszy do „barbarzyńskiej amerykańskiej rzeczywistości.” Maria Nowotarska po mistrzowsku odegrała tę scenę, sprawiając, że była ona głęboko poruszająca i pulsująca emocjonalną prawdą.

Całość monodramu jest przedśmiertną spowiedzią, przyznaniem się do „bankructwa w wielkim stylu,” jak to określa bohaterka sztuki, boleśnie szczerym rozrachunkiem z własnym życiem, a jednocześnie ostatnią próbą poszukiwania zagubionej tożsamości. Maria Nowotarska zdołała pokazać sprzeczności targające Modrzejewską: jej miłość własną, narcystyczne patrzyenie na siebie oczami swych widzów i wielbicieli, a jednocześnie ironię i cyniczną samoagresję. Właśnie dzięki tym sprzecznościom postać Modrzejewskiej staje się chwilami bardzo ludzka i przejmująco prawdziwa. „Gdy zesłam ze sceny – pustka. Przeróżająca pustka,” wyznaje. Przeszłość staje się nadzieją, wyzwoleniem, ucieczką, do której zawsze tęskniła. Upostaciowana jest przez nią samą sprzed lat - piękną, młodą i wyidealizowaną Helenę, przechadzającą się za oknami w białej długiej sukni, którą aktorka kilkakrotnie dostrzega w trakcie spektaklu. To ona właśnie – Helena z przeszłości zjawia się, zawoalowana białym tiulem, w ostatniej scenie, by miłośnie choć zdecydowanie chwycić swe późniejsze wcielenie za rękę i towarzyszyć jej w owej ostatniej wędrówce, już nie wstecz ani w jutro, lecz gdzieś poza czas. Maria Nowotarska dała z siebie wszystko – otrzymała za swój występ burzę oklasków. Zeszła ze sceny zmęczona, lecz szczęśliwa, wiedząc, że po raz kolejny oddała hołd wielkiej sztuce aktorskiej, bez której ani jej bohaterka ani ona sama nie potrafiłyby żyć.

**Barbara Bernhard**

## Recenzje

**S@motność w sieci: Tryptyk, Janusz L. Wiśniewski. Prószyński i S-ka, 2003.**



Romans nigdy nie był moim ulubionym gatunkiem literackim, a jednak z pełną świadomością polecam na urlopowe miesiące opowieść o miłości, która zwróciła moją uwagę i skusiła do doczytania aż do jej zaskakującego końca. Bo jest to romans inny, odbiegający od tradycyjnego formatu właściwego temu gatunkowi. To opowieść o dwojgu ludziach, którzy wysyłają do siebie – jak dramatyczne S.O.S. – wyzwania własnej samotności. Dokonują tego cyfrowym kodem składającym się z zer i jedynek – czyli jak sugeruje symbol z klawiatury komputerowej użyty w tytule – w Internecie, poprzez e-maile, ICQ, instant messaging i w SMS-ach.

**S@motność...** to opowieść o przypadkowo zawartej znajomości internetowej. Wątek rozwija się poprzez listy i czaty. Osobowość bohaterów, ich świat zewnętrzny i emocje, poznawane są z „Jej” i „Jego” osobistych wynurzeń. To oni malują swoje subiektywne autoportrety, motywują swoje wybory życiowe. Wkrótce czytelnik dowiaduje się, że On jest niezwykle utalentowany, obdarzony niebywale wysokim poziomem inteligencji oraz wieloma naukowymi tytułami zdobiącymi jego imię,

Jakub L., które autor w pewnym momencie decyduje się nam odkryć (czyżby zbieżność z inicjałami samego autora, doktora informatyki i doktora habilitowanego chemii?). Natomiast „Ona” do końca pozostaje bezimienna. Obowiązki zawodowe coraz to zmuszają Jakuba do dalekich podróży; przemieszcza się pomiędzy kontynentami w tym swoim nowoczesnym świecie bez granic i jedyną nicią łączącą go z jego internetową



korespondentką jest sieć komputerowa oraz... samotność. Bo oto tych dwoje profesjonalistów, świetnie zharmonizowanych z gigantycznymi trybami korporacyjnych machin, tak naprawdę samotnie dryfuje po swoich oceanach emocjonalnej pustki.

Ich niewinnie zainicjowana znajomość zaczyna przeradzać się we flirt, często zabarwiony słowną pikanterią, zmysłowością, nawet erotyzmem. Wymiana elektronicznych listów eskaluje - z bezkarnego buszowania po wewnętrznych dżunglach emocji, do szczególnie doświadczanej bezcielesnej intymności. Wkrótce jednak przekonują się, że kontakty przy pomocy jedynek i zer wysyłanych w sieć, to jedynie ułuda prawdziwego związku. Wiśniewski błyskotliwie eksponuje technologię komputerową, dając swej powieści posmak ultranowoczesności, ale wkrótce technologia schodzi na drugi plan i pozostaje jedynie narzędziem do obnażania ludzkiej psychiki oraz transporterem przemysłu.

Bo oto zaczyna rodzić się etyczne pytanie, czy brak fizycznego aspektu ich związku zwalnia ich z obaw o popełnianie zdrady? Czy emocjonalna alienacja „Jej” od męża w nieudanym związku automatycznie anuluje obowiązek wierności? Czy flirt w elektronicznym wymiarze może być niemoralny? A może jest raczej amoralny, bo Dekalog nie definiuje seksu w eterze? Bo erotyzm cyfrowy to tylko kontakt opuszków palców z guzikami klawiatury komputerowej? Takie i podobne obawy miotają Jakubem, który walczy jednocześnie z własną cielesnością sterowaną przez neurony i chemię, z osamotnieniem, z wszechogarniającym uczuciem, a z drugiej strony z kodem standardów moralnych, ze szlachetnym idealizmem. W wyniku tej wewnętrznej walki gmatwa sytuację (co czynił już w przeszłości, w innych związkach). Nie potrafiąc zabić własnych ran z przeszłości, ponownie zadaje je innym będąc przekonany, że działa pod wpływem wrażliwości. Usprawiedliwia się, jednocześnie dręcząc się poczuciem winy i kary.

Czy to znaczy, że **S@motność...** jest współczesnym moralitetem? Po części tak, ale Jakub to nie średniowieczny moralitetowy Everyman, lecz idealistyczny geniusz, przytłaczający swoimi bogatymi (choć czasami destruktywnymi) doświadczeniami, intelektem i wrażliwością (jego znajomość i rozumienie natury, psychiki i fizjologii kobiet jest oszałamiająca! Wnika w duszę kobiety, rozważa z pozycji naukowca, genetyka, lekarza, psychologa, socjologa – a każda analiza jest trafna.)

Romans z eterycznym, bezcielesnym, subiektywnym a może i „domalowanym” obrazem partnera oddalonego o tysiące mil pozwala Wiśniewskiemu zasugerować, że to nie ciało, ale intelekt jest podniecią i ma wartość sex appeal'u. Jakub wabi swoją wybrankę wiedzą, mistrzowsko wplecionymi opowieściami odzwierciedlającymi jego intelektualny potencjał. Jak afrodyzjakiem czaruje ją anegdotami o BB Kingu, Bachu, Einsteinie. Maluje słowem odcienie obrazów Dali. Roztacza powab odwiecznych miast świata, ich panoramę, historię i kulturowo-etniczny klimat. Opowiada o projekcie sekwencjonowania ludzkiego genomu. O neuroprzebiegach i procesie przewodzenia bodźców. O dopaminie i parametrach miłości. Molekułach emocji. Strukturze DNA. Neurobiochemii samotności. Chemii dotyku. I dla takich nowicjuszy w dziedzinie nauk biologiczno-chemicznych jak niżej podpisana, te opowieści – wplecione w raczej banalną historię miłosną – stanowią największą zaletę książki bo mają wartość poznawczą. Ktoś powiedział, że **S@motność...** to książka popularno-naukowa z wątkiem miłosnym. Powieść była wielokrotnie dyskutowana na seminariach, czytano ją w radiu, napisano prace naukowe. Zajmowała czołowe lokaty na listach bestsellerów. Zdobywała nagrody. Wyzwalała skrajne reakcje i komentarze: dla jednych była tanim „cyberseksem”, dla innych „książką kultową”. Ciekawe, do której kategorii zaliczą ją Czytelnicy **Wiadomości z Biblioteki**.

**Ola Zajackowski**

(P.S. – Zainteresowanych lekturą **S@motności...**przeznaczam, że pierwsze wydanie z 2001 roku nie posiada później dodanego Post-Epilogu, który choć patetyczny i niewiarygodny, oferuje zaskakujące zakończenie. Zaś posiadacze pierwszego wydania znajdą Post-Epilog, zatytułowany „15 minut później,” oczywiście... w Internecie!).

## Pożegnania

### Anna Erdman (1945-2004)

Pierwsze spotkanie z panią Anią Erdman, lekarką-pediatrą, żoną Tadeusza Walendowskiego, wnuczką Melchiora Wańkowicza, córką *Tirliporka* (tej, która *była cółką Melchiola, jechała składakiem na Mazury i pisała altykuły (Ziele na kraterze)*, przywodzi mi na myśl jej sposób wyrażania, sposób prowadzenia rozmowy z dzieckiem. Był to prosty język, składnia była przejrzysta i zrozumiała dla małego pacjenta. Rozmowę zawsze rozpoczynała od czegoś niezwykłego, od jakiejś swojej krótkiej *historyjki*. Na przykład: *Dzień dobry, Maciusiu. Wiedziałaś, że przyjdiesz. Dziś rano poszeptał mi to na uszko mój kudłaty, mądry piesek. Zdziwione dziecko pytało: Mamo, a skąd ten piesek wiedział, że ja jestem chory? A jak to możliwe, że on mówi? (No, bo to taki zaczarowany piesek. A pani doktor tak naprawdę jest dobrą wróżką - odpowiadałam).*

Była świetnym diagnostykiem. Oprócz wiedzy i wieloletniego doświadczenia miała niezwykle dar intuicji. Potrafiła, przed skomplikowanymi zabiegami i badaniami tomograficznymi, postawić właściwą diagnozę. Leczenie, *pieczę* nie tylko nad dziećmi, ale również dorosłymi miała we krwi. Być może leczenie ciał, a także dusz ludzkich, było rodzinne. Cytuję Wańkowicza: *W kredensie babka [z Baczyńskich Konstantowa Szwoynicka, a więc praprababka pani Ani] spełniała wielkie misteria medycyny. Dwór był kasą chorych i centralną apteką na całą okolicę. Prześiąknięte jesiennym dniem szare postaci babulek niezmiernie wzdychającym głosem wywodziły stale to samo, że mężów czy też dzieciuków pali w środku. Mężczyźni najczęściej lubili się uskarżać na niedomagania.... macicy. Wskakiwała im do gardła, szła w nogi i w najniemożliwsze miejsca.... Rzecz niepojęta, jak z tych tam macic w gardle [babka] mogła stawiać diagnozy. Pewno pomagały jej lata obcowania z tym ludem, z jego bólem, z jego nieszczęściami, jak z jego codziennym dniem. (Szczenięce lata).*

Pani Ania była niesłychanie oddana swojej pracy. Pozwalała dzwonić do siebie o każdej porze dnia, jeśli małym pacjentom potrzebna była pomoc lub rada. W przychodni często przyjmowała po godzinach. Kiedy ubezpieczenie było nieodpowiednie, potrafiła nie wypisać rachunku. Ciepła i uśmiechnięta. Serdeczna i pogodna. Podobno kochała *źródło zaranne, ptaka nieznany imieniu, dąb zimowy*. (Z. Herbert, **Przesłanie Pana Cogito**). Miała w sobie coś ze świeżości poranka i porannej rosy, po której się stąpa bosymi stopami i czerpie radość z rzeźkości nadchodzącego dnia.

Zgodziła się spotkać ze mną i z uczniami IV klasy licealnej, by porozmawiać o Wańkowiczu. Chciałam jej zadać mnóstwo pytań: Do jakiego stopnia książki Wańkowicza były cenzurowane (W **Zielu na kraterze**, w wydaniu 13 (sic!) z 1993 r. pojawia się np. nazwisko Miłosza), jak się po latach pan Melchior zapatrywał na swoją **Opierzoną rewolucję**, czy ktoś przygotowuje wydanie Wańkowiczowskiej opowieści o rzeziach Polaków na Wołyniu (a Wańkowicz zajmował się tym tematem w czasach, kiedy się bano, nie chciano lub sprawą tą zajmowano się pokątnie) itd. Dziś po prostu zapytałabym panią Anię, jakim dziadkiem był Wańkowicz i o czym z nim rozmawiała w ostatnich latach jego życia.

Pani Ania oraz Pan Tadeusz żyli „jak gdyby nigdy nic”. Oboje poważnie chorzy potrafili cieszyć się pełnią życia, chodzili do kina, remontowali dom, wyjeżdżali (i to wcale nie do najbliższego stanu, tylko do Europy). Pan Tadeusz nadal kierował Biblioteką Polską, latem organizował jej piknik, zimą *kolędowanie*, do pracy jeździł na rowerze i sprawiał wrażenie, jakby „miał w nosie” całe to swoje choróbko, zaś pani doktor energicznie zajmowała się swoimi małymi pacjentami. Ponownie „zanurzam się” w Wańkowiczu, znajduję list córki Krysi do ojca Melchiora: *Ale ja ... nie skapituluję. Wezmę się w karby, będę pracować, stworzę sobie możliwości. Żeby czerpać z życia, trzeba mu dać albo talent, albo pracę, albo miłość, albo wiarę, albo wolę. Mam tu Króliczka [Zofia Wańkowiczowa] i dom, i wszystko jeszcze mogę zrobić ze swego życia. A że wojna jest, trudno, na to nie poradzę.... (Ziele na kraterze)*. Anna Krystyna urodziła się w 1945 roku, już po śmierci cioci Krysi, która, jako łączniczka „Parasola” - oddziału AK, zginęła w pierwszych dniach powstania warszawskiego. Anna Krystyna była nie tylko symbolem życia, była także namacalnym dowodem na niezniszczalność istnienia dopóty, dopóki wszyscy kochający się ludzie będą pielęgnować swoje dzieci jak „ziele na kraterze”. Krysi zginęła, bo poszła do powstania, tak jak wielu przed nią, tak jak jej dziadek, Melchior senior, który w roku 1863 miał osiemnaście lat (zaś z sybiryjskiej wrócił już jako dojrzały mężczyzna), tak jak dwaj wujowie, bracia matki, ginący w odstępnie trzytygodniowym w lipcu 1919 r. Krysi zginęła, bo była wojna, bo wybuchł krater, a z jego rozżarzonego wnętrza wydostała się zatruta masa, zalewająca delikatne ziela. A potem.... *był embrion. Potem było w łonie matki zamknięte pulsujące życie. Wreszcie był dziecienny pokój (Ziele na kraterze)*. Pokój małej Ani w New Jersey. Na zdjęciu z Tirliporkiem, a więc z mamą Martą, i siostrą Ewą czteroletnia (?) Ania w białej bluzce z bufiastymi rękawkami trzyma pluszowego pieska. Mała dziewczynka z dwoma warkoczykami i pieskiem w ręku spogląda ufnym wzrokiem gdzieś w przyszłość, która zaowocuje podróżami i dłuższymi pobytami poza krajem, buntem (protestem przeciwko wojnie w Wietnamie i niezgodą na PRL-owską rzeczywistość), studiami medycznymi w Polsce, wychowaniem dzieci, praktyką lekarską, czyli nieustanną opieką nad małymi pacjentami....

Kiedy zachorował na raka również pan Tadeusz *błagała los, żeby dane jej było być z nim do końca, ulżyć jego cierpieniu, nie pozostawić go samego*. A więc wieczne czuwanie, czuła opieka i troska, nieustające oddanie. Są różne bohaterstwa – to na barykadach, widoczne w świetle nieprzyjacielskiego ognia, i takie, które jest zamknięte w ścianach własnego pokoju, spowitego blaskiem księżycy i nocnym czuowaniem. Towarzyszy mu cisza, cierpienie i miłość. Wydaje mi się, że pani Ania siłą woli, swoimi decyzjami (np. o następnej chemoterapii) powracała do pana Tadeusza, jakby z własnego już niebytu, pod szrapnelami i w ogniu swojej choroby, tak jak sanitariuszka, która wraca do śmiertelnie ранego powstańca. Z jakiego źródła czerpie się tyle siły i woli? – zadawałam sobie nieustannie to pytanie. Kiedy powróciłam ze spotkania – wieczoru wspomnieniowego, poświęconego pamięci państwa Walendowskich, pytanie to nieustannie mi towarzyszyło, szczególnie zaś jedno zdanie, które zostało na sali wypowiedziane: *Nigdy się nie skarżyła*. Nigdy?! Niemożliwe. A przecież nieustannie się na coś skarżymy, tak jakby skarga była wpisana w nasze codzienne bytowanie. Czy odpowiedzi znowu należy szukać u Wańkowicza, podsumowującego atmosferę rodzinnego domu w Nowotrzebach i jego mieszkańców? *Ale domu tego mieszkańcy, bici przez los, spychani przez życie, mieli w sobie wielką siłę oporu, wielką stałość trwania. Klęski przyjmowali jako normalne objawy życia.... Ludzie, na podłożu tego domu*



wyrośli,... nieśli w psychice swojej przyciężki złom zasad – niezdolni do ułatwiania sobie życia, gdzie się nie godzi. Dlaczego? Nie wiadomo. Uleciały zasady, dogmaty, pozostała – struktura psychiczna. (**Szczenięce lata**). Ale czy tylko struktura psychiczna? Może także zapach puszczy, dziewiczych lasów i doliny Niewiaży -państwa nagięgo człowieka, geny Dziadów, historia Praojców, woń maciejki, którą tak bardzo lubiła Krysia, ale także lub przede wszystkim silna osobowość i umiłowanie życia.

Kiedy w marcu br. spotkaliśmy się w kwakerskim **Friends Meeting House** w Waszyngtonie, by powspominać, czy to publicznie, czy we własnych myślach, pp. Walendowskich, opanowało wszystkich jakieś wspólne, przejmujące drżenie (*quakers* ‘drzący’). To właśnie kwakrzy, odrzucający wszelką obrzędowość, wierzą, że możliwe jest porozumienie wszystkich ludzi, bez względu na własne przekonania i wyznanie wiary. A Państwo Walendowscy znani byli ze swojej tolerancji, łagodnego usposobienia, otwartości na ludzi i inne kultury. Dzięki nim więc stworzyliśmy na chwilę prawdziwą wspólnotę, jakby w przeczuciu transcendentnego doznania „czegoś”, co czasami przechodzi obok nas i wydobywa nas z naszej codzienności. Jest to być może mgnienie wieczności i naszej nieprzemijalności, a także „coś”, czego nie potrafimy do końca określić, ani tym bardziej nazwać, ale czujemy, że istnieje i jest silniejsze od nas.

**Beata Kubok**

### **Jacek Kaczmarski (1957-2004)**

*On natchniony i młody był, ich nie policzyłby nikt  
On im dodawał pieśnią sił, śpiewał, że blisko już świt  
Świec tysiące palili mu, znad głów unosił się dym  
Śpiewał, że czas, by runął mur, oni śpiewali wraz z nim  
Wyrwij murom zęby krat  
Zerwij kajdany, połam bat  
A mury runą, runą, runą  
I pogrzebią stary świat!*

**Mury** z płyty **Mury**, 1976

Bez ryzyka można przyjąć, że wielu czytelników **Wiadomości** potrafi bezbłędnie zanucić melodię do tych słów. Był taki czas, że znaleźmy tę piosenkę na pamięć. Wszyscy. A na pewno ci, których młodość przypadła na lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte. Śpiewaliśmy ją na festiwalach i rajdach studenckich, prywatkach, imprezach politycznych i kościelnych, w tasiemcowych kolejkach przed sklepami, w strajkowych uniesieniach, na wiecach i anty-pierwszomajowych pochodach, przy ogniskach, pod szczytem Koziego Wierchu, w zatłoczonych pociągach i autobusach, zadyszani w spinaczce na dwunaste piętro bez windy, w porannej ciszy zaspanego miasta, gdy się chciało wykrzyknąć rozpacz lub chwilowe uczucie szczęścia. Pomagała, gdy gasły ostatnie promienie nadziei, kiedy zdawało się nam, że nie mamy już siły na przetrwanie, ani godności na jutrzejszą szarość. Różowy kamyczek, maleńka dawka optymizmu dla naszych naiwnych marzeń o lepszej przyszłości. Potrafiła zjednoczyć nas o wiele mocniej niż skręty z kartkowego tytoniu czy butelka ciepłej wódki.

Każdy wiedział kim był Jacek Kaczmarski - jednym z nas. Dla przypadkowych szczęściarzy to kolega ze szkoły, kumpel z podwórka lub z polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim, dla bardziej wtajemniczonych bliski przyjaciel, filozoficzny guru, bard i osobisty poeta. ON. Zwykły-niezwykły, pełen zadumy i refleksji, wodzirej, dusza towarzystwa i kpiarz, który o trzeciej nad ranem na poczekaniu opowiadał dziesiątki najbardziej niewybrednych kawałów wywołując w zaspanych biesiadnikach salwy głośnego śmiechu. A potem uspokoiwszy ich jednym skinieniem ręki, brał gitarę do ręki i przejmująco śpiewał:

*Po mnie nikt nie wyciągnie okrutnych rąk  
Mnie nie będą katować i strzyc!  
Dla mnie mają tu jeszcze ósmy krąg!  
Ósmy krąg, w którym nie ma już nic.  
Pamiętajcie wy o mnie. Co sił! Co sił!  
Choć przemknąłem przed wami jak cień,  
Palcie w łaźni, aż kamień się zmieni w pył,  
Przecież wrócę gdy zacznie się dzień!*

**Epitafium dla Piotra Wysockiego**

Krótką notą biograficzną: Jacek urodził się 22 marca, 1957 roku w Warszawie, zmarł 10 kwietnia 2004 roku w Gdańsku, rak krtani. Za dużo palił, wyrokowali jedni, no i też lubił sobie wypić... Jakby to miała być zasłużona kara za grzechy. Miał zaledwie 47 lat. Równolatek z tym samym bagażem wspomnień z naszego dorastania w ludowej Polsce.

Zadebiutował w 1977 roku na Festiwalu Piosenki Studenckiej, na którym zdobył I nagrodę za utwór **Oblawa**. W 1980 dostał II nagrodę na festiwalu w Opolu za **Epitafium dla Włodzimierza Wysockiego**. W latach 1981-1990 przebywał na emigracji. Od 1982 był redaktorem i dziennikarzem Radia Wolna Europa, gdzie prowadził własny program **Kwadrans Jacka Kaczmarskiego**. Po powrocie do kraju odbył trasę koncertową, za której płytową wersję otrzymał w 2001 roku Złotą Płytę.

W swoim życiu napisał prawie 1000 piosenek. Udało mu się dla nich stworzyć odmienny rodzaj słuchacza, całkowicie odbiegający od powszechnie znanego modelu odbiorcy piosenki rozrywkowej czy rockowej. Słuchacza erudyte, wszechstronnie wykształconego, poszukującego prawdy, wymagającego, delektującego się każdym słowem tekstu i każdym gitarowym akordem. W jego utworach znika granica między piosenką a poezją, powstaje coś nowego, coś wyraziście przerastającego ograniczenia odnoszące się do gatunku "piosenka." Ale Jacek nigdy nie zadowolił się swoją twórczością, bez ustanku szukał nowych sposobów na przekazanie własnych obserwacji o świecie, o życiu ludzkim, o kulturze, o sobie.

Kiedy wepchnięto Jacka na cokół i wypisano mu na czole słowo "legenda," nie da się dokładnie ustalić. Może wtedy, gdy jego życiorys pojawił się w trzyparagrafowym ujęciu w **Encyklopedii WIEM**, 2001, może po sukcesach zagranicznych koncertów, a może dopiero gdy już nie mógł więcej śpiewać i przykuty do szpitalnego łóżka rozpoczął swoją ostatnią walkę - z rakiem. Wszystko jedno, Jacek stał się ponadczasowy, historyczny, prawie klasyczny, jego wiersze trafiły już do podręczników szkolnych, za prace nad jego twórczością przyznano kilka doktoratów, a "specjaliści" od Legendy o Jacku coraz odważniej zaczęli przekładać jego poezje z "polskiego na nasze." Tymczasem Jacek nigdy nie próbował udawać, nie zwracał się do Narodu, nie pisał politycznych manifestów ani martyrologicznych pieśni, nie odnosił się do tradycji, nie próbował nikomu udowodnić, że zajmuje się rozpowszechnianiem dziedzictwa czy też wartości uniwersalnych. Może właśnie dlatego stał się ponadczasowy.

Nam, których młodość przypadła na lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte, legenda o Jacku nie jest potrzebna. Może się ona jednak przydać następnemu pokoleniu. Aby nie udawali, że coś wiedzą, aby potrafili dopasować jego słowa do wspomnień rodziców, do miejsc, które musieli zobaczyć pod przymusem podczas wakacji w Polsce, wywołać z pamięci parę nazwisk czy bez znużenia obejrzeć kolekcję biało-czarnych zdjęć, na których rozgrywają się wydarzenia z tamtych dni, 1976 a potem 1980. Niełatwa lekcja historii.

Kim jest Jacek dla nastolatków urodzonych w USA, mało przejmujących się "zamierchłą" przeszłością emigranckich rodziców? Czy jego poezja ma szansę aby przebić się przez betonową skorupę tanich rytmów pop-rocka, czy potrafi do nich trafić? Te zawile wiersze, pełne odnośników i niejednokrotnie trudnych aluzji do zamierchłej komunistycznej codzienności. Nie ma szans. Ale czy na pewno? Ostatnio przyłapałam swojego nastoletniego syna, ze słuchawkami na uszach nachylonego nad referatem z angielskiego. Zasłuchany Mateusz szeptał do siebie słowa piosenki:

*Głupi Jasiu, Głupi Jasiu,  
Rozumiałeś mowę ptasią,  
Ale więcej już rozumiesz dziś,  
W baśniach śpią prawdziwe dzieje,  
Woda życia nie istnieje, Ale zawsze warto po nią iść.  
W baśniach śpią prawdziwe dzieje,  
Woda życia nie istnieje, Ale zawsze warto po nią iść...*  
**Głupi Jasio** z płyty **Głupi Jasio**, 1990

**Dorota Munoz**